

Nina Taylor-Terlecka
University of Oxford

Orfeusz i Kostucha. Ostatnie chwile Józefa Wittlina*

Równo 40 lat temu, w niedzielę 29 lutego 1976 roku, w wczesnych godzinach porannych, Józef Wittlin zasnął snem wiekuiстым w nowojorskim szpitalu. Wnet, słowami kaznodziei złotoustego, przed bramą nieba powitali Go Izajasz, Jeremiasz i Ezechiel, którzy w towarzystwie Biedaczyny z Asyżu zaprowadzili poetę do tronu Wszecchmożnego. W ostatniej rozmowie z księdzem mówił, że przygotowuje się do śmierci i że odda swoje życie za pokój świata.

Podczas miesięcznego pobytu szpitalnego Wittlin chętnie rozmawiał po włosku z uroczą pielęgniarką z Potenzy rodem. Mimo że ciężko chory, był do samego końca przytomny. Mózg sprawnie funkcjonował, do godziny drugiej nad ranem jeszcze rozmawiał z żoną, ostatnie chwile miał spokojne. Chociaż czuł, że umiera, „ale łudził się – pisała potem Wittlinowa – wspierany naszymi kłamstwami, że wyjdzie z tych oparów i będzie mógł jeszcze pisać. Stało się inaczej. Odszedł we śnie. W obecności rodziny”.

W swoich dyspozycjach testamentowych Wittlin wydał pewne wskazówki co do obsekwii. „Jeśli w New Yorku kiwnę – proszę o mszę, może z jakimś gregoriańskim śpiewem”. Przy tym zastrzegł – „ale bez żadnych »eulogii«. Niechaj tylko [ksiądz] przed ołtarzem coś o mnie powie”.

Stało się jednak nieco sprzecznie z tymi życzeniami, gdy 2 marca o godzinie 9.45, odprawiając mszę żałobną w kościele św. Tomasza Morusa na Manhattanie ks. Henryk G. d’Anjou wygłosił homilię nad trumną:

W samej rzeczy powinniśmy Cię pochować *more nobilium*, w sposób szlachetny, tak jak chowano hiszpańskich magnatów za dawnych czasów. Sześciu diakonów w złotych dalmatykach z El Greca powinno nieść Twoją trumnę, i sześciu braciszków franciszkańskich, z zapalonymi świecami paschalnymi w ręku, klękać u Twojego boku. Posadzka w kościele św. Tomasza Morusa powinna być zaścielona dywa-

* Fragment większej całości.

nem z kwiatów i Twoja trumna owinięta barwami Papieża Jana XXIII. Powinien zadzwonić królewski dzwon katedry wawelskiej i wielki chór rozśpiewać: „Święty Boże”..., „Sanctus Fortis”..., „Hagios Athanatos”!

Kolejny punkt testamentowy Wittlina brzmiał: „Nie chciałbym być pochowany w jednym z tych straszliwych, dalekich cmentarzy. Żadnych malunków na mojej gębie. Trumna ma być zamknięta”. Profesor Wiktor Weintraub przyjechał z Bostonu na pogrzeb, „bardzo amerykański, bo kościół był w trzech czwartych wypełniony, ale na cmentarz pociągnęły za karawanem wszystkiego cztery wozy. Ten cmentarz, byłem na nim po raz pierwszy, to swoista osobliwość amerykańska: położony prawie 20 mil za miastem, olbrzymi i ma na środku swój przystanek kolejowy, który się nazywa Walhalla”. Zaraz po pochówku zaofiarował pomoc w przekazywaniu części archiwum, rękopisów i korespondencji do zbiorów uniwersytetu w Harvardzie, tak jak to było wcześniej uzgodnione z pisarzem.

W swojej eulogii ksiądz i tak nie unikał superlatywów, bowiem „nikt od czasów Juliusza Słowackiego nie pisał po polsku piękniej i z taką doskonałością jak Józef Wittlin”. Duży nacisk kładł na napaści antysemitki, których Wittlin był ofiarą w przedwojennej Warszawie ze strony hurrapatriotycznych, a może też zwyczajnie zawistnych pisarzy. Sytuacja nie poprawiła się po ochrzczeniu poety, gdyż to właśnie po przyjęciu chrztu „z obu stron słychać było tylko »Trędowaty! Trędowaty! Trędowaty!«”. Mówca postulował: „Przed trumną Józefa Wittlina polski katolicyzm powinien paść na klęczki i bić się w kamienną pierś, pokutując za grzech antysemityzmu, »zbrodni sprawiedliwych«, która woła o pomstę do nieba. Ale czy to zrobi?”.

Znany jako szermierz dialogu polsko-żydowskiego i niestrudzony obrońca ofiar nazizmu, ksiądz Henryk d’Anjou – urodzony w Polsce, gdzie przeżył okupację niemiecką – nieraz wywoływał oburzenie pobożnych parafian. W pewnej chwili dziejowej zawiesił flagę Izraela nad swoim kościołem; za to, że w płomiennych kazaniach ostro chlostał wszelkie objawy marksizmu, nacjonalizmu i antysemityzmu, dostawał listy z pogrozkami.

Wedle wskazówek samego Wittlina o jego zgonie miały być powiadomione „New York Times” (nekrolog i zdjęcie), PEN Club amerykański, Akademia w Darmstademie, Polski Instytut Naukowy w Nowym Jorku i Radio Wolna Europa. Wdowa również poinformowała „Kulturę” paryską, gdzie miało się ukazać wydanie II tomu jego dzieł. W liście do Jerzego Giedroycia Czesław Miłosz komentował: „Śmierć Wittlina – pisał – jak to w bajce o pasterzu, który wołał o wilku i nikt później wiary nie dawał – kiedy po wojnie po raz pierwszy zjawiłem się w Nowym Jorku, już wtedy Wittlin skarżył się, że na wymarciu. Ale i na hipochondryków przychodzi niestety koniec”.

Przewrażliwiony, skrajnie znerwicowany Józef Wittlin właściwie całe życie utyskiwał na zdrowie i były ku temu powody. Choć już mocno słabnąc, w marcu 1975 roku miał swój ostatni wieczór autorski w Sali Fundacji Kościuszkowskiej, tamże też niebawem, mówiąc z kartek „z punktami”, wpro-

wadzał „ulubioną i wysoko przeze mnie cenioną autorkę” i zagaił debiut nowojorski Zofii Romanowiczowej. Ale już w kwietniu tego roku przeliczne dolegliwości: bóle w czole, zaburzenie równowagi i wzroku, ciężka anemia, nasunęły poważne wątpliwości co do jego udziału w zaplanowanym na listopad wieczorze dla uczczenia niedawno zmarłego Aleksandra Janty. Do książki zbiorowej o Jancie skrobnął zaledwie parę określeń, a w festschrifcie dla Wiktora Weintrauba występował już tylko w *Tabula gratulatoria*.

Dramatyczne pogorszenie nastąpiło na początku października: chwilowe niedokrwienie mózgu, stłuczenie kolana i zapalenie mazi stawowej. Po czym krwotoki z nosa i dwa tygodnie w szpitalu uniwersyteckim, gdzie opiekował się nim życzliwy internista z Przemyśla rodem. Gdy liczne analizy krwi wykazały nadmiar potasu (objaw uremii) i niedobór sodu, spowodowane obniżoną czynnością nadnerczy, zapisano mu kortyzon. Po wyjściu ze szpitala przyplątała się uciążliwa grypa, a w ślad za nią silna infekcja i pięcioletniowy stan podgorączkowy. Wyniszczenie organizmu uniemożliwiło potrzebny zabieg chirurgiczny. Podczas krótkiej przerwy bezgorączkowej rozpisywał życzenia świąteczne nierównym pismem. Przy tym nie odstępowała go anemia, a ważył wszystkiego 90 funtów. Gdy wróciły dreszcze i szczykanie zębami, temperaturę zbito dopiero po ogromnych dawkach sulfonamidu. Ale i sam timbre głosu Wittlina miał zmieniony.

Przez cały okres chorobowy Wittlin dużo mówił o starych przyjaciółach, nie zapominał o ich urodzinach, rozpamiętywał młodość wspólnie spędzoną we Lwowie – swoje pierwsze olśnienie poezją Rilkego, partyturę Tristana wielokrotnie wykonaną przez kolegę na fisharmonii w pasażu Mikolascha, wspólne przygody w Wiedniu.

Gdy pod koniec stycznia gorączka osiągnęła 40 stopni, Wittlina zawieziono do szpitala. Nie rozstawał się z dawnymi tęsknotami, pisał: „Te drapacze chmur, na które patrzę z mojego szpitalnego pokoju na siedemnastym piętrze, martwe w dzień, w nocy ożywia je oświetlenie – przywidują się mnie jak olbrzymie niebotyczne nagrobki. Beznadziejność tego krajobrazu ratuje świetlna reklama PAN-AM, jakby iskra nadziei – że jeszcze wyruszę stąd za ocean”.

W szpitalu cała ekipa lekarska, z przyjaznym przemyslaninem na czele, zachodziła w głowę, aż wpadła na diagnozę: F.U.O. czyli *Fever of unknown origin*, a co do przyczyn wysnuwała... różne hipotezy. Jak stwierdziła siostra pacjenta: „Józio zadaje lekarzom najtrudniejsze egzaminy z interny”. Właściwie całe życie Kostucha czaiła się na Józefa Wittlina, zastawiała na niego pułapki. Gdy wreszcie zwerbowała wszystkie kohorty i uszykowała szeregi, to zewsząd, hurmem i szturmem, zaczęły wylać choróbska. I tylko hurmem i szturmem potrafiła wyprawić Orfeusza w zaświaty. Wszystkie organy powoli odmawiały posłuszeństwa. Ostatecznie rozpoznano daleko posuniętą marskość wątroby i nekrozę nadnercza, na których rozwinęły się nowotwory.

Trzeba więc raz na zawsze włożyć między bajki „hipochondrię”, o którą Wittlina podejrzewali najbliżsi nawet ludzie, wypominając mu niewydajność

literacką. Wiele kartek jego epistolografii cechują nieustające biadolenie, litanie boleści, litowanie się nad samym sobą. Takie odczytanie wymaga jednak nieco lepszego rozeznania; choroba poety narastała od lat, tylko jakimś cudem istniał i pracował.

Proszony przez Giedroycia o tekst wspomnieniowy Miłosz ekskuzował się, iż „o Wittlinie zasadniczo powinien napisać lwowianin. Czy nie masz kogo takiego? Może jednak Andrzej Vincenz?”. Zgadzał się redaktor, że „może warto by uwypuklić jego »lwowskość«, jak to sugerujesz, ale czy mały Vincenz to potrafi? To wymaga dużej maestrii. Mógłby to zrobić Hostowiec (...)”. Redaktora bardziej interesowały niedokończone fragmenty *Soli ziemi* niż wiersze – „no ale trudno – nawet wiersze trzeba wydać”. Ostatecznie w numerze majowym „Kultury” Miłosz dał raczej konwencjonalną, niepodpisaną notatkę *Żegnamy Józefa Wittlina*: „Żegnamy Józefa Wittlina, pisarza zawsze wiernego swojej wielkiej współczującej miłości, człowieka głębokiej wiary, mądrego i prawego obywatela, który przez połowę życia dzielił los wszystkich wyzutyh z ojczyzny. Nie możemy w tej chwili lepiej uczcić jego pamięci, niż podając wyjątki z jego pisma”.

W Londynie Związek Pisarzy urządził wieczór poświęcony pamięci pisarza w Ognisku Polskim. Juliusz Sakowski, zapewne *spiritus movens* tego spotkania, wspominał swą wieloletnią przyjaźń z Wittlinem, Bronisław Przytułski mówił o jego poezji. Fragmenty *Soli ziemi* i przekładu *Odysei* czytali Karol Dorwski i Józef Opieński. W numerze pamiątkowym „Wiadomości” ukazały się również wypowiedzi Stanisława Balińskiego, Felixa Mantela, Pawła Łyska i Tadeusza Nowakowskiego.

W Nowym Jorku przeczekano okres wakacji letnich i wieczór pożegnalny Józefa Wittlina odbył się 6 listopada tego samego roku firmowany przez Polski Instytut Naukowy. Przewodniczyła Rosjanka, monografistka poety, Zoya Yorieff. Z mówców Wiktor Weintraub „z właściwą sobie subtelnością krytyczną” poświęcił uwagę *Soli ziemi*, a Tymon Terlecki, nawiązując do wspomnień osobistych, mówił o roli Lwowa w życiu i twórczości Zmarłego. W części artystycznej Karin Tiche-Falencka odtworzyła garść liryków, wybranych przez Wittlina do programu jego ostatniego wieczoru autorskiego, a Tola Korian czytała poetycki Prolog do *Soli ziemi* i zadedykowany jej wiersz *A la recherche du temps perdu* oraz wyjątki z *Mego Lwowa*. W komemoracji uczestniczył także Mieczysław Horszowski, blisko zaprzyjaźniony z poetą pianista, i – jak gdyby spełniając prośbę w *Postscriptum do mojego życia* – odegrał jedną z jego ulubionych sonat Mozarta. Zamknął spotkanie – jak pisał sprawozdawca wieczoru – „sam Wittlin nagrany na taśmę recytacją *Hymnu o łyżce zupy*. Był to głos zza grobu i jednocześnie świadectwo życia poza śmiercią”.

W jednym z listów kondolencyjnych stwierdzono, że w pisarstwie Wittlina nie ma „ani jednego nieprawdziwego słowa”. Z tym sądem zgodziła się Wdowa: „[Józio] po prostu nie potrafił kłamać i to może mu utrudniało pisanie”. Utrudniało mu życie wśród ludzi, proces twórczy. I nie tylko.